



WEJŚCIE DLA ARTYSTÓW

Sławomir Pietras

To był wspaniały wieczór. Arcydzieło Giacomina Meyerbeera *Hugenoci* od wielu lat nie pojawiało się na żadnej scenie z kilku powodów. Francuski repertuar romantyczny w stylu pięcioaktowej grand opera wyszedł od dawna z mody, a twórczość jego czołowego protagonisty została wręcz zapomniana. Aby zagrać ten trwający ponad 6 godzin spektakl, trzeba kilku doskonałych solistów – trzy wirtuozowskie soprany, fenomenalnego w górnych dźwiękach tenora, dobrego basu i kilku równie trudnych partii drugoplanowych – olbrzymich chórów, sprawnej kondycyjnie orkiestry z wieloma instrumentami solowymi, a przede wszystkim panującego nad tym wszystkim dyrygenta pełnego żaru, niepodważalnej muzycznej kompetencji, interpretacyjnego zmysłu i nadzwyczajnej fizycznej odporności.

Tym wszystkim w Operze Paryskiej popisał się Łukasz Borowicz, w jej bogatej historii pierwszy Polak, który stanął przy pulpicie dyrygenckim tego legendarnego, wybitnego teatru. Skala sukcesu jest tym większa, że trzeba było debiutować dzie-

Łukasz Borowicz w Opera Bastille

tem spoza obiegowego repertuaru, ongiś pomnikowym utworem francuskiej operowej klasyki, swymi rozmiarami i długością trwania przewyższającym znacznie najdłuższe spektakle wagnerowskie.

A wszystko to dokonało się na oczach wymagających i operowo kompetentnych paryżan oraz wielu cudzoziemców, wśród których widziałem panie Mireille i Marianne, córki polskiego kompozytora Aleksandra Tansmana, Piotra Kamińskiego – wybitnego muzykologa i historyka sztuki lirycznej, Marię Sartową – powszechnie tu rozpoznawalną i pozdrawianą, Dianę Damrau – gwiazdę światowych scen operowych, Aleksandrę Kurzak i Roberta Alagnę – których Paryż właśnie oklaskuje w *Traviacie*. Na widowni był również Stefan Lisner – dyrektor Opera Bastille oraz na czele dużej grupy francuskich krytyków Eve Rugieri – autorytet artystyczny i gwiazda telewizyjna porównywana niegdyś pod względem popularności do naszego Bogusława Kaczyńskiego.

Łukasz Borowicz wydaje się artystą zdolnym do tym wybitniejszej autokreacji, gdy towarzyszy mu napięcie, szczególnie oczekiwanie, obecność postaci stresujących zwykle innych wykonawców, ale jego mobilizujących do czynów artystycznie porywających, uskrzydających, jako

posiadacza wielkiego talentu i niezwyklej osobowości.

Od pierwszych taktów dyrygował zarazem swobodnie i emocjonalnie, na muzyków wpływając przyjaźnie, ale konsekwentnie egzekwując wszelkie detale partytury. Podczas przebiegu tego olbrzymiego dzieła zauważyłem, że Borowicz opanował je na pamięć, tylko od czasu do czasu zerkając do nut na pulpicie. Miało to znaczenie dla wzorowego współdziałania dyrygenta z solistami. A śpiewały same znakomitości: Lisette Oropesa (królowa Małgorzata), Yosep Kang (Raul), Ermonela Jaho (Walentyna), Nicolas Testé (Marcel), Karine Deshayes (paź Urban), a w interesującym epizodzie Méru jedyny Polak – Michał Partyka.

Ze co, że w Polsce nikt tych nazwisk nie słyszał? To najnowsza generacja międzynarodowej czołówki wokalne, o której wkrótce i u nas powinno być głośno. O Łukaszu Borowiczu jeszcze przed tygodniem z podziwem mówiono tylko w kulisach Opera Bastille, a dziś jest na ustach całego operowego Paryża.

Spektakl, którym zadebiutował w stolicy Francji, wyreżyserował Andreas Kriegenburg w pięknych kostiumach Tanji Hoffmann i wspaniałych światłach Andreeasa Grütera (cała ekipa niemiecka).

Realizatorzy zawarli w nim przesłanie o groźbie powtórnych wojen religijnych, przekazane klarownie, z kulturą wyrazu scenicznego, dobrze odebrane przez publiczność.

Przed drugim aktem widownia owacją przyjęła wchodzącego do pulpitu dyrygenckiego Łukasza Borowicza. Po przedstawieniu otrzymał powtórnią owację z okrzykami, tym razem na stojąco. Na scenie bili brawo wszyscy soliści i ponadstuosobowy chór, który mistrzowsko wykonał obszerne sceny zbiorowe.

Wśród tłumów na widowni pozostawał niezmiennie wzruszony szef Filharmonii Poznańskiej Wojciech Nentwig, wieloletni promotor wielu krajowych i zagranicznych sukcesów Borowicza, który przyjechał do Paryża na czele pokażnej grupy poznańskich fanów naszego dyrygenta. Towarzyszył siedzącej w pierwszym rzędzie parteru pani Bogumile Borowiczowej, tego wieczoru chyba najszcześniejszej matce na całym świecie. Złożywszy jej należyte uszanowanie zapytałem dyskretnie, czy nie ma jeszcze choć kilku innych, równie utalentowanych, wykształconych i dobrze wychowanych synów?

Niestety, okazało się, że TAKI Łukasz jest tylko jeden!